

Eckehart Ruthenberg, Robert Ryss

Dużych cmentarzy nie kocham :
rozmowa z Eckehartem
Ruthenbergiem - berlińskim
artystą-plastykiem, badaczem historii
cmentarzy żydowskich w byłej NRD i
w zachodniej Polsce

Rocznik Chojeński 2, 252-268

2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

DUŻYCH CMEN TARZY NIE KOCHAM

Rozmowa z Eckehartem Ruthenbergiem¹ – berlińskim artystą-plastykiem, badaczem historii cmentarzy żydowskich w byłej NRD i w zachodniej Polsce.

NRD i Żydzi

- Najpierw zacząłeś szukać cmentarzy żydowskich w NRD. Jak to się zaczęło?

- Nie miałem pracy, nie mogłem wystawiać ani zarabiać pieniędzy. STASI mnie załatwiło.

¹ Eckehart Ruthenberg – ur. 1943 w Greifswaldzie. W 1970 r. ukończył wzornictwo przemysłowe w Akademii Sztuk Pięknych w Berlinie Wschodnim (Weißensee). Do 1979 r. pracował jako artysta w Dreźnie, a potem do 1983 r. w Wismarze, gdzie wykonywał m.in. drewniane konstrukcje na place zabaw. W 1984 r. władze NRD zakazały mu wystawiania i sprzedaży, a także zabrały dowód osobisty. Wtedy zaczął badać historię cmentarzy żydowskich na terenie NRD. W 1989 r. pozbawiono go obywatelstwa NRD i wyjechał do Berlina Zachodniego, a rok później do Bergisch Gladbach koło Kolonii. W 1991 r. bez żadnego wsparcia finansowego ukończył sześcioletnie badania nad 300 cmentarzami żydowskimi w nowych landach niemieckich (odkrył większość z nich, która nie była nigdzie udokumentowana). Trzy lata później ukazał się leksykon tych obiektów Stein und Name (Kamień i nazwisko). Od 2001 r. Ruthenberg mieszka w Berlinie, gdzie w dzielnicy Prenzlauer Berg otworzył sklep-galerię Galerie Süßholz. Autor licznych rzeźb drewnianych, a także kolaży i grafik m.in. o historii żydowskiej (wystawy w Berlinie i Jesteburgu k. Hamburga, gdzie w 2006 r. otrzymał nagrodę Tygodnia Artystycznego). Od 2006 r. szuka i bada cmentarze żydowskie w zachodniej Polsce. Po odnalezieniu macewy wykonuje jej odbitkę metodą wymyśloną przez siebie: pokrywa nagrobek dużym arkuszem białego, błyszczącego papieru i wciera w niego ziemię. Na papierze powstaje dokładne odbicie kamienia w skali 1:1.

- Za co?

- Złożyłem wniosek o wyjazd do Niemiec Zachodnich. I się zaczęło. To wystarczyło. Może było coś więcej, ale i tak nigdy się nie można było dowiedzieć, co mieli na kogoś. Zabrali mi dowód osobisty, nie mogłem mieć konta w banku. Gdy pytałem na policji czy gdziekolwiek, to zawsze była ta sama odpowiedź: nie jesteśmy zobowiązani do udzielenia żadnych informacji. A więc chciałem znaleźć dla siebie jakieś sensowne zajęcie.

- Co robiłeś przedtem?

- Zajmowałem się snycerką, czyli rzeźbieniem w drewnie, robiłem urządzenia na place zabaw dla dzieci, malowałem obrazy, wykonywałem grafiki itp.

- I nagle zacząłeś mieć dużo wolnego czasu.

- Tak. Z nudów wymyśliłem np. kulistą łódź, która nie tonie. Potem przy Kollwitzplatz w Berlinie zrobiłem rodzaj drogowskazu, wskazującego wymarzone miejsca mojego dzieciństwa. Np. do Nowej Zelandii drogowskaz musiał prowadzić w dół, przez całą kulę ziemską.

- Co doprowadziło cię do pierwszego cmentarza żydowskiego?

- Czysty przypadek. W 1983 lub 1984 roku mój przyjaciel obfotografował i pokazał mi zdjęcia zupełnie zdewastowanego cmentarza w Eberswalde. Cały był zarośnięty bluszczem.

- To była reguła, jeśli chodzi o kirkuty w NRD?

- Tak. Bardzo niewiele, może z dziesięć na trzysta było w dobrym stanie. Ze trzy lata trwało, zanim dowiedziałem się, co ja bym chciał z tym w ogóle zrobić. Zacząłem w Berlinie wypytywać ludzi o Żydów, czy sobie coś przypominają itd.

- Co do tego czasu wiedziałeś o Żydach?

- Absolutnie nic! Zacząłem od książek. W NRD były ze dwie, trzy, w których można było coś znaleźć, ale i tych nie można było dostać. Poszedłem więc do biblioteki żydowskiej. Takie przygotowania trwały trzy lata. Dopiero któreś nocy przed zaśnięciem przyszło mi do głowy, że muszę wszystko

rzucić, całą moją sztukę i zacząć się tym zajmować: jeździć i szukać.

- Z czego żyłeś przez te trzy lata?

- Utrzymywała mnie żona. Miała dobry zawód: była skrzypaczką w najlepszych orkiestrach w Berlinie i dobrze zarabiała. Wtedy, w 1985 r. urodził się nasz syn Jonas. Jak miał rok, to już go zabierałem na moje wyprawy, a więc już od urodzenia żydowskie cmentarze były jego domem. Pierwszy kirkut to był ten w Eberswalde. W Berlinie Wschodnim była tylko jedna kopiarnia. Tam skopiowałem plany. Za każdym razem, gdy byłem w Eberswalde, nanosiłem na plan to, co znalazłem.

- Co konkretnie zacząłeś robić na tym cmentarzu?

- Pomierzyłem każdy kamień, każdy grób. Podjąłem starania o przetłumaczenie napisów na nagrobkach. W NRD było może z pięć osób, które mogły to przetłumaczyć. Ale jak je znaleźć? Na żadnym uniwersytecie nie było judaistyki i nikogo, kto władał starohebrajskim. Chcieli mi pomóc księża, ale nie dali rady, bo znali tylko nowohebrajski. W końcu znalazłem studentkę teologii, która brała udział w rekonstrukcji cmentarza ortodoksyjnej gminy żydowskiej. Ona dostarczyła mi pierwsze tłumaczenia.

- Czy już wtedy, w NRD, zacząłeś robić odbitki nagrobków?

- Tak. Ale trochę trwało, zanim znalazłem odpowiednią metodę. Próbowałem kredą, grafitem, ołowiem. Dopiero po jakimś czasie wpadłem na to, żeby wcierać w papier ziemię.

- Czyli doszedłeś do tego sam, metodą prób i błędów?

- Tak. Sam próbowałem, odrzucałem to, co nie dawało efektów i szukałem dalej. W Eberswalde na środku cmentarza stał stary dąb. Spod niego wziąłem ziemię. Była ciemnobrązowa i znakomicie się nadała. Nic nie trzeba było więcej robić z odbitkami ani niczym ich utrzymywać. Wystarczyło przyłożyć papier i wcierać tę ziemię rękami. Dziennie dawałem radę zrobić 6-7 sztuk, bo potem zaczynały mi krwawić dłonie.

- Na każdym cmentarzu można znaleźć taki stary dąb?

- Nie na każdym, ale na bardzo wielu. Myślę, że były to dęby „założycielskie”.

To byli niemieccy Żydzi, od czasów romantyzmu bardzo zasymilowani, a dąb w niemieckiej kulturze odgrywał ogromną rolę. Sądzę, że niemieccy Żydzi byli bardzo dobrymi Niemcami. Ale ta sprawa z dębem nie jest udowodniona. Pewnego dnia będę w stanie to udowodnić. Jak będę miał pieniądze, to kupię specjalne pięciomilimetrowe wiertło i będę mógł się przewiercać przez słoje dębu, by porównać jego wiek z udokumentowanym wiekiem cmentarza. I zobaczę, czy moja teoria się potwierdzi. To kosztuje 300 euro i do tej pory nie było mnie na to stać.

- Ile kirkutów udokumentowałeś w ten sposób w NRD?

- 300.

- Z tego duża część oficjalnie nie istniała i była poza wszelką dokumentacją?

- Jak zaczynałem, to oficjalna ilość, podawana nawet przez gminę żydowską, to było 100. Zgłosiłem się na pewne sympozjum i powiedziałem, że moim zdaniem jest co najmniej 200 cmentarzy. Następnego dnia w gazecie była informacja, że jest ich 125. Znalazłem historyka, który zajmował się tym, co ja. Powiedział mi w prywatnej rozmowie, że jest 180 cmentarzy, ale na pewno nie więcej.

- Jak więc znalazłeś tak niesamowicie dużą brakującą ilość?

- Mam tu taką moją złotą księgę – Kommunales Auskunftsbuch für 1914/15. To rodzaj leksykonu z Prowincji Prusy. O każdej miejscowości są informacje.

- A więc ta księga była ci potem pomocna także w poszukiwaniach w dzisiejszej zachodniej Polsce.

- Naturalnie. Przy każdej miejscowości jest m.in. liczba mieszkańców i ich wyznanie oraz liczba kościołów. Jeśli była synagoga, to ją wymieniono. I to już było dla mnie jasne: tam, gdzie była synagoga, tam musiał być kirkut.

- Zobaczmy Chojnę, czyli ówczesny Königsberg in der Neumark.

- Dobrze. Jest napisane, że była synagoga i 60 Żydów. Ale w latach 1870–

1914 był duży odpływ ludności ze wsi i małych miast do Ameryki, a także do Berlina i Wrocławia. Można więc wnioskować, że 40-50 lat wcześniej Żydów w Chojnie było dwa razy więcej. W Nowym Warpnie według spisu ludności z 1910 r. było 5 Żydów, a w 1850 roku 10. Znalazłem tam 6 grobów i tylko trzy nagrobki pod ziemią.

Kim był mój ojciec?

- Przez trzy lata teoretycznie zajmowałeś się historią Żydów. Do jakich doszedłeś wniosków, że postanowiłeś zająć się historią żydowskich cmentarzy?

- To czysty przypadek.

- W prasowych publikacjach pojawia się stwierdzenie, że jest to z twojej strony ciche zadośćuczynienie.

- Dziennikarze tak sobie o mnie pomyśleli.

- A sprawa twego ojca Martina Ruthenberga nie miała znaczenia?

- Już zajmowałem się kirkutami, gotowy był też leksykon Stein und Name (Kamień i nazwisko)², gdy zacząłem badać przeszłość mego ojca.

- Czy miało to wpływ na twoje zaangażowanie emocjonalne w to, co robisz?

- Oczywiście. Ale jak zacząłem zajmować się cmentarzami, to jeszcze nie znałem historii ojca. Odwiedziłem wszystkie uniwersytety, w których pracowałem, przejrzałem wszystkie publikacje i tak dowiedziałem się, że ojciec zajmował się eugeniką rasową.

- To było już w czasie wojny?

- Jeszcze przed. W 1937 r. zrobił doktorat z biologii ras. Czytałem tę pracę, ale nie bardzo rozumiałem, więc kupiłem sobie książkę o nazistowskich teoriach rasowych. Wtedy zrozumiałem, czym ojciec się zajmował.

² M. Brocke, E. Ruthenberg, K.U. Schulenburg, *Stein und Name. Die jüdischen Friedhöfe in Ostdeutschland (Neue Bundesländer/DDR und Berlin)*, Berlin 1994.

- Ojciec jeszcze żył?

- Już nie. Zmarł w 1991 r. W czasie wojny został odkomenderowany do Instytutu Rasowego w Rydze, gdzie pracował jego kolega, który razem z nim robił doktorat. Z książki o eutanazji dowiedziałem się, że właśnie w Rydze-Kleistenhofie zaczęto praktykować gazowanie ludzi spalinami w specjalnych samochodach. Dowiedziałem się też, że przełożeni ojca mieli z tym do czynienia. On był tam miesiąc albo dwa, ale nie mogłem stwierdzić jego bezpośredniej odpowiedzialności. Wcześniej był jako żołnierz na froncie wschodnim, zajmował się parkiem samochodowym. W jego listach do mojej matki do Greifswaldu znalazłem jeden z 19 marca 1942 r. z Nowomoskowska. Dołączony był kawałek mapy sztabowej tego terenu z dopiskiem „Koniecznie zachować”. List się zaczynał słowami: „Ostatnie trzy dni były tak okropne, że w ogóle nie mogę o tym pisać”. W książce Wiesenthala³ pt. Jeder Tag ein Gedenktag (Każdy dzień to dzień pamięci) są kolejne daty z czasu Zagłady. I tam znalazłem datę, o której pisał w liście ojciec. Dokładnie w czasie tych trzech dni w Nowomoskowsku nad rzeką zamordowano 400 Żydów. Przypuszczam, że ojciec był tam wtedy ze swoją ciężarówką, ale nie mam dowodów.

- Ojciec nigdy nie opowiadał o tym twojej matce?

- Nigdy.

- Czy te straszne odkrycia i przypuszczenia nadały nowy sens i nowy impuls temu, co robiłeś do tej pory z cmentarzami żydowskimi?

- Nie wiem. Po wydaniu pierwszego leksykonu siedziałem w tym już tak głęboko, że nie potrzebowalem żadnych nowych impulsów. Ale po tym, czego dowiedziałem się o ojcu, zachorowałem. Potrzebowałem paru lat, żeby to przetrwać i zdystansować się. W tym czasie rozwiodłem się i wróciłem do Berlina. Wtedy objawiło mi się, że teraz powinienem zajmować się cmentarzami po polskiej

³ Szymon Wiesenthal (1908–2005) pochodził ze Lwowa, w czasie wojny więzień hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Po wojnie tropił nazistowskich zbrodniarzy i przyczynił się do postawienia przed sądem wielu z nich. Utworzył działające w Wiedniu Żydowskie Centrum Dokumentacji Historycznej okresu holokaustu.

stronie i że będzie to logiczna kontynuacja. I że będzie to zadanie skierowane ku przyszłości zamiast zajmowania się przeszłością ojca.

- Ojciec komentował jakoś to, co robiłeś z kirkutami?

- Nie. Jak miałem 21 lat, wyrzucił mnie z domu.

- Dlaczego?

- Kłóciliśmy się, jak jeszcze byłem dzieckiem. Jego metody wychowawcze były takie, że już jako mały chłopak myślałem, że to musi być faszysta. Albo że ma nie po kolei w głowie. Stosował reżim, wczesne wstawanie, zimny prysznic, posłuszeństwo. No i bił mnie mocno... To nie było przyjemne... Wyrzucił mnie z domu całkiem dosłownie, bo wyrzucił wszystkie moje rzeczy przez okno, prosto na piękną rabatkę majowych tulipanów. Krzyczał przy tym, że pora, bym poszedł do wojska i nauczył się porządku oraz że przestałem być już jego synem i nie będę nim aż do jego śmierci.

- Ze strony władz NRD i STASI nie miałeś przeszkód w swej działalności?

- Miałem, i to dużo.

- Żydzi to był w NRD temat trudny lub wstydlivy?

- Tak, objęty absolutnym milczeniem.

- Wynikało to z państwowego antysemityzmu czy z czegoś innego?

- Najpierw myślałem, że to skutek jakiejś głupoty, ale później przekonałem się, że jeden z powodów to antysemityzm w NRD.

- Antysemityzm specyficznie enerdowski?

- Myślę, że we wszystkich krajach ówczesnego bloku wschodniego istniał uśpiony antysemityzm. Większość komentarzy żydowskich wszędzie tam wyglądała tak jak teraz w Polsce. Z jedną różnicą: w NRD w miejscu większości zrównanych z ziemią komentarzy stawiano jakiś kamień pamiętkowy czy tablicę. Tego było trochę więcej niż gdzie indziej. Dlaczego w Polsce jest tak jak jest? Czy ludzie o tym nie myślą? Czy to z głupoty albo antysemityzmu? Wcale nie uważam, że Polacy są szczególnie antysemitami. Przyczyną jest raczej brak wiedzy i głupota. Z każdym historycz-

nym tematem jest podobnie. Najpierw nikt się tym nie zajmuje, a dopiero potem przychodzi czas, kiedy jest to jakoś przepracowywane i dochodzi do świadomości.

Zaczynam poszukiwania w Polsce

- Miałeś 15 lat przerwy między ukończeniem dokumentowania cmentarzy w byłej NRD a rozpoczęciem w 2006 r. takiej działalności w Polsce.

- Bo przeprowadziłem się na zachód Niemiec, w tym na 12 lat pod Kolonię. Po rozwodzie wróciłem do Berlina. I teraz mam do Cedyni godzinę drogi.

- Jaki był pierwszy impuls do poszukiwań w Polsce?

- Właściwie już dawno wiedziałem, że chcę to robić dalej. Ale życie mi nie pozwalało. Trzeba było zarabiać pieniądze, więc musiałem uprawiać swoją sztukę, stworzyć tę galerię. Musiałem zapewnić sobie warunki, by móc dalej zajmować się kirkutami. Choć w czasie tej przerwy zajmowałem się jednym cmentarzem w Siegburgu pod Bonn. Potem powstała najlepsza w zachodnich Niemczech książka o tym cmentarzu. Ale to nie były moje cmentarze. Moje są tu. Tam są dobrze zachowane, m.in. dzięki dobrym przepisom z lat 60. Tam za każdy cmentarz odpowiada gmina. Ma o niego dbać, ogrodzić itd.

- Ważne było tylko dobre prawo czy też mentalność ludzi? Czy między wschodnią a zachodnią częścią Niemiec jest też różnica w postawach ludzi?

- W RFN też późno zaczęto zajmować się tymi sprawami. Stosunek ludzi jest wszędzie jednakowy. Większości w ogóle to nie interesuje.

- Czyli o lepszym stanie cmentarzy w zachodniej części Niemiec zdecydowały sprawy urzędowe.

- Tak. Gdyby w Polsce prawo zobowiązywało burmistrza do ogrodzenia każ-

dego zachowanego cmentarza, zebrania śmieci i skoszenia raz w roku trawy, to wyglądałoby to dużo lepiej. Dlatego cmentarze na zachodzie Niemiec są w sto razy lepszym stanie niż gdzie indziej.

- W ten sposób prawo reguluje w Polsce opiekę nad wojennymi cmentarzami rosyjskimi. Ale to efekt umowy międzyrządowej. Burmistrz dostaje na to pieniądze z Warszawy.

- I tak powinno być z żydowskimi cmentarzami. Zapytałem jednego z polskich posłów do sejmu, czy widzi jakąś możliwość pomocy żydowskim cmentarzom w Polsce zachodniej. Odparł, że owszem, mógłby mi pomóc, ale gdybym ja zajął się wszystkimi cmentarzami żydowskimi i niemieckimi. To nierealne dla jednego człowieka, bo niemieckich jest na zachodzie Polski ok. 5 tysięcy i żydowskich 600.

- Gdzie był twój pierwszy kirkut w Polsce?

- Podejrzywałem, że nie ma żadnej dokumentacji na tym obszarze. Wtedy zapytałem swego profesora Michaela Brockego z Duisburga, czy wie coś na temat materiałów o cmentarzach na dawnych ziemiach niemieckich. Odpisał, że nie może niczego znaleźć. W 2006 roku zdecydowałem, że wybiorę się z synem w dwie próbne podróże niespełna 100 km od Berlina: do Cedyni, Trzcina-Zdroju, Morynia, Mieszkowic, Dębna, Boleszkowic, Kostrzyna. Stwierdziliśmy, że jest tam 12 cmentarzy. Byłem już pewien, że odległość między nimi wynosi ok. 20 km, tak jak w NRD. W Kostrzynie nie ma nic, tylko łąka. W Cedyni było 6 nagrobków i akurat ktoś z gminy kosił tam trawę. W Trzcina-Zdroju z cmentarza zrobiono ogródki. W Moryniu w porządku były 2-3 nagrobki, w Myśliborzu stał prywatny dom i ogród. To wszystko zanotowaliśmy i dokonaliśmy obliczeń. Doszliśmy do wniosku, że jedna trzecia cmentarzy nie istnieje, jedna trzecia zachowała się tylko jako pusta przestrzeń i jedna trzecia jest w takim stanie, że jeszcze można coś z nimi zrobić: pomierzyć i jakoś zadbać. Takie trzyczęściowe proporcje sprawdzają się też na innych terenach. W sumie po polskiej stronie

w dawnej Brandenburgii znalazłem 50 cmentarzy. I wtedy wyznaczyłem te, o które można jeszcze zadbać i które powinny zostać ogrodzone. Zrobiłem też kosztorysy zakupu niezbędnych materiałów z uwzględnieniem niemieckich cen. Pierwszym cmentarzem, o który tak zadbano, była Witnica Gorzowska. Zrobił to Zbigniew Czarnuch⁴. Kosztowało to ok. 1000–1500 euro.

- Taki kosztorys opracowałeś dla każdego cmentarza?

- Tylko dla tych, dla których jest to konieczne i na których coś zostało. Bań ani Chojny nie ma wśród nich. W Chojnie jest tylko mur i łąka.

- 7 lat temu dzieci urządziły sobie tam boisko piłkarskie, ale po interwencjach „Gazety Chojeńskiej” to się zmieniło i bramki zabrano. W 2006 r. stanęła tablica informacyjna, co prawda z niezbyt prawdziwymi informacjami, ale przynajmniej nie gra się tam już w piłkę.

- To dobrze.

- Jak twoje poszukiwania w Polsce wyglądały w praktyce? Przecież znalazłeś również nieudokumentowane cmentarze.

- Większość jest na starych mapach sztabowych.

- Są tam oznaczone jako cmentarze żydowskie?

- Nie, jako niechrześcijańskie. Oznaczone są literą L. Gminy zwykle przeznaczały na cmentarze żydowskie miejsca, których nie dało się wykorzystać na inne cele. Np. bagnistą łąkę, gdzie sami Żydzi musieli nawieźć dużo ziemi, żeby zwłoki się nie zapadały. Była to celowa złośliwość. Np. w Münchebergu kirkut zlokalizowano na bardzo stromym zboczu, bo nic innego nie dało się tam zrobić.

- Czy w Polsce musiałeś prosić o informację mieszkańców?

- Też. Wiedzą coś już tylko starzy ludzie, którzy jako dzieci chodzili np.

⁴ Zbigniew Czarnuch (ur. 1930) mieszka w Witnicy Gorzowskiej. Jeden z najbardziej cenionych regionalistów na polsko-niemieckim pograniczu. Stworzył w swojej miejscowości słynny Park Drogowskazów i Kamieni Milowych Cywilizacji. Jest prezesem Polsko-Niemieckiego Stowarzyszenia „Educatio Pro Europa Viadrina”. Otrzymał honorową Nagrodę Kulturalną im. Georga Dehio za rok 2009, przyznaną przez Niemieckie Forum Kultury Europy Środkowej i Wschodniej.

do lasu na grzyby czy jagody i teraz przypominają sobie, że gdzieś wśród drzew były nagrobki.

- Czyli zaraz po wojnie było więcej śladów niż dzisiaj.

- Oczywiście. W Boleszkowicach byłem 5 lat temu, a rok temu brakowało już 10 nagrobków. Zniknęły wszystkie te, które stały, a nie leżały. Ktoś w miejscowym barze opowiadał, że przyjechała po nie półciężarówka z przyczepą z niemiecką rejestracją z Kraju Saary. Nie wiem, ile w tym prawdy. W Niemczech taki nagrobek z piaskowca kosztuje 1000 euro, więc taka wyprawa by się opłacała.

- Odbitki nagrobków robisz, gdy macewa leży na ziemi. A gdy stoi?

- Wtedy robię tylko zdjęcie, bo do wykonania odbitki musiałbym mieć kogoś do pomocy. W Wolinie znalazłem jeden stojący nagrobek. Przyłożyłem do niego papier, a od góry zawiesiłem marynarkę, która go przytrzymała. Ale jak wieje czy pada, to w ogóle nie da się zrobić odbitki.

- Jaka jest typowa reakcja polskich mieszkańców, gdy pytasz o żydowski cmentarz?

- Bardzo dobra. W trzy miesiące odwiedziłem wszystkie 50 miejscowości i znalazłem wszystkie cmentarze. Mam prawie wyłącznie dobre doświadczenia z polską ludnością. Na sto dobrych było może jedno negatywne. To było w niedzielę przed kościołem Krzeszycach (woj. lubuskie). Zapytałem starą kobietę o cmentarz żydowski, ale tylko machnęła ręką, coś mruknęła pod nosem i poszła. Szedłem za nią i mówiłem po polsku „Proszę panią, proszę panią”, ale ona się tylko odganiała.

- A po jakimu pytasz? Nauczyłeś się polskiego?

- Znam tylko 12 słów, np. „na prawo, na lewo, powoli, nie bystro”. Ale zawsze mam ze sobą kartkę z odręcznym napisem po polsku: „Poszukuję i zajmuję się cmentarzami żydowskimi w Polsce. Czy może mi Pani/Pan proszę powiedzieć czy w tej miejscowości znajduje się cmen-

tarz żydowski”. Na rynku przed kościołem w Lipianach siedział starszy człowiek. Usiadłem koło niego i „rozdąłem się” po polsku: pogoda, czy wszystko dobrze. Potem pokazuję mu tę moją „złotą” kartkę. Od razu zaczął bardzo szybko i szczegółowo wyjaśniać, jak muszę iść. To było dla mnie za szybko, za dużo i zbyt skomplikowane. Poszliśmy razem, a on co 10 kroków staje, ciężko oddycha i mówi: „mein serce”. Podchodzimy do mojego auta, a on się strasznie śmieje, bo tam jest tylko jedno siedzenie i materac do spania. Więc musiał się położyć. Bardzo rozbawiło go, że jedzie jak w karetce. Ale rzeczywiście, poprowadził mnie jakąś skomplikowaną drogą do cmentarza w lesie. Mówię mu po polsku: „Dziękuję bardzo, bardzo, bardzo!”. Potem znów go załadowałem i zawiozłem do domu. W bramie stała kanapa, na której usiedliśmy. Zawołał żonę, zadzwonili po córkę, która знаła jeszcze jakichś ludzi. Wszystko po to, żeby ich jeszcze wypytać i mi pomóc. Wspaniale! W takich sytuacjach nie chce mi się odjeżdżać. I nieważne, czy tego dnia jeszcze coś zrobię, czy nie.

- Podczas swych wypraw zawsze nocujesz w aucie czy też u ludzi?

- W Reczu przy obwodnicy stał kiosk. „Jeden kawa proszę” – powiedziałem po polsku, choć wiedziałem, że w takich kioskach kawy nie podają. Ale sprzedawczyni poszła na zaplecze i zrobiła mi w swoim czajniku kawę. Wtedy pokazuję jej moją kartkę, a za mną stoi już trzech ludzi, którzy chcą coś w kiosku kupić. Czytają mi przez ramię i zaraz zaczyna się gorąca dyskusja, gdzie jest cmentarz. Siadam z kawą, obok mnie ci ludzie, a nowi, którzy przychodzą, są też pytani. Musiałem im wyjaśniać po polsku: „Nie niemiecki. Żydowski”, bo ludzie często nie rozróżniają cmentarzy. Przyszedł jakiś starszy człowiek i powiedział – jak się domyśliłem – że to się w ogóle nie zgadza, co tamci mówią. Stwierdził, że trzeba iść ul. Dworcową koło wieży telefonicznej. Po krótkiej dyskusji reszta orzekła, że faktycznie, to się może zgadzać. To było

po dziewiątej wieczorem. Wtedy dwie kobiety powiedziały mi, żebym z nimi poszedł. Zobaczyliśmy to miejsce i uznałem, że tu mógł być kirkut. Wróciliśmy i jedna z kobiet, która trochę знаła niemiecki, bo pracowała w Niemczech chyba jako pielęgniarka, zapytała: „A gdzie pan nocuje?”. Powiedziałem, że w aucie. Zajrzały do środka i ta starsza się oddaliła. W domu zapytała męża, bo przecież tak nie można, żeby spać w samochodzie. Wróciła i mówi: „Wszyscy idziemy do domu”. Tam były dwa pokoje, w tym jeden mały, a przyszło 6-7 osób. Najpierw było jedzenie, a koło północy zobaczyłem świeżo pościelone łóżko. Pościel była błyszcząca i kolorowa, jak na wesele. Spałem więc w łóżu małżeńskim, a w drugim pokoju oni porozkładali dla siebie tapczany. A rano wielkie śniadanie.

- Bez wódki?!

- Była wieczorem. I to wszystko zdarzyło się dzięki tej mojej kartce. Tak więc mam tylko dobre doświadczenia i nie spotkałem w Polsce antysemitów.

- Nikt nie chciał od ciebie pieniędzy za informacje?

- Parę razy się zdarzyło. W Pełczycach i w Baniach, gdzie przed południem pijaczkowie chcieli ode mnie na piwo. Odpowiedziałem im po polsku: „Nie rozumiem, ja niemiecki”.

Nie tylko cmentarze

- Planujesz wydać podobny leksykon z kirkutami Polski zachodniej?

- Oczywiście. Ale nie wiem, kiedy. Niedawno się zezłościłem, że zrobili już taki przewodnik po Kaszubach.

- Ale Kaszuby to już nie twój region.

- Ależ tak! Wszystko jest moim regionem!

- Nawet Ukraina? Słyszałem, że masz propozycję robienia tam takich poszukiwań.

- Tak. Ukraiński profesor historii przyjechał i na klęczkach prosił mnie,

żebym zaczął szukać kirkutów na Ukrainie. Zapewnia mi mieszkanie i utrzymanie. Odpowiedziałem, że życia mi nie starczy, bo najpierw muszę zakończyć badania w Polsce.

- Ile zostało ci w Polsce do zrobienia, żeby wydać taki leksykon?

- Teraz obszar dawnej Brandenburgii zszedł na razie na dalszy plan, bo bardziej zająłem się Ziemią Lubuską, a nawet Dolnym Śląskiem i Wielkopolską. Wcześniej zakładałem, że będę robił jedną prowincję na rok. Z Brandenburgią zdążyłem: wszystkie miasta i wsie, dokumentacja zdjęciowa. Przez następny rok miało być Pomorze. Ale pojechałem na Dni Kultury Żydowskiej do Zielonej Góry. Tam Andrzej Kirmiel⁵ powiedział do mnie: „Tylko cmentarze? To nie będzie dobra książka”. Twierdzi, że tam powinny być też informacje o żydowskich gminach, synagogach, sklepach. I nie w dawnej niemieckiej Brandenburgii, ale na Ziemi Lubuskiej. Zapytałem, co to takiego Ziemia Lubuska, bo nie wiedziałem, że coś takiego istnieje⁶. Kirmiel pokazał mi mapę i krzyknąłem: „Boże, odpada cała moja północ!”. Poza tym historia Żydów wielkopolskich wyglądała zupełnie inaczej niż na Dolnym Śląsku. Zacząłem więc zajmować się też historią Żydów poznańskich. Andrzej dał mi kopie 200 różnych archiwalnych dokumentów na temat Ziemi Lubuskiej. Żaden Polak nie jest w stanie tego przeczytać i tylko niewielu Niemców, bo to są dokumenty ręcznie pisane w staroniemieckim. Im wyższe stanowisko, tym gorszy był charakter pisma. Ale jestem w stanie to wszystko przeczytać. Wpisuję linijka po linijce do komputera i współcześnie mam niektóre słowa, by były zrozumiałe dla kogoś, kto zna tylko dzisiejszy niemiecki.

- To znaczy, że nie będzie leksykonu cmentarzy?

- Będzie leksykon w ogóle o życiu Żydów na Ziemi Lubuskiej.

⁵ Andrzej Kirmiel – historyk, nauczyciel, przewodniczący Lubuskiej Fundacji Judaica, której celem jest rekonstrukcja i opieka nad pozostałościami materialnej kultury żydowskiej w woj. lubuskim. Fundacja organizuje Dni Kultury Żydowskiej w Zielonej Górze. Kirmiel w 2009 r. wygrał konkurs na dyrektora muzeum w Międzyzrzeczu.

⁶ Do 1945 roku Ziemia Lubuska nie istniała; historycznie jest to część Śląska, Łużyc, Brandenburgii i Wielkopolski.

- **To dla mnie nie jest dobra wiadomość.**

- Mam nadzieję, że skończę to w 2–3 lata i wtedy wrócę na Pomorze.

- **Chojna i okolice historycznie nie zależały na Pomorzu, ale w Nowej Marchii i w Brandenburgii.**

- Ale trzeba się kierować podziałem na dzisiejsze województwa. Tak twierdzi Kirmiel, choć ja wolałbym się opierać na starym podziale.

- **Skąd bierzesz takie materiały jak w przypadku Ziemi Lubuskiej?**

- Chodzę do Tajnego Archiwum Państwowego w Berlinie. Tajne było kiedyś, bo policyjne. Zrobiłem już spis treści 600 dokumentów, a 200 mam skopiowanych. Ale kosztuje to sporo pieniędzy. Część kosztów pokryło Muzeum Historii Żydów Polskich w Warszawie. Resztę pokrywam z własnej kieszeni.

- **Powiedziałeś kiedyś, że te żydowskie cmentarze są dla ciebie jak sieroty.**

- Bo tak jest. To moje najukochańsze dzieci. Są takie malutkie: 20 na 20 metrów. Straciły rodziców w czasie holokaustu, a potem źle je traktowano. Musiały żyć na obczyźnie, wśród obcych. Najwyższy czas, żeby ktoś był dla nich dobry. Dużych cmentarzy nie kocham. Boję się Szczecina, bo nie wiem, jak duży jest tam kirkut. Mam nadzieję, że nie jest zbyt wielki. Przy pracy nad leksykonem Kamień i nazwisko nie zajmowałem się dużymi kirkutami, jak w Dreźnie, Halle, Magdeburgu, Lipsku i Berlinie. Zrobił to profesor Brocke. Ja jestem od wiejskich cmentarzy. Chciałbym, aby cmentarze żydowskie znajdowały się pod ochroną. Kto ma to robić i jak? To dla mnie obojętne. Ja sam nie dam rady.

Rozmawiał Robert Ryss
Autor serdecznie dziękuje

Ewie Czerwiakowskiej i Jerzemu Czerwiakowskiemu za pomoc translatorską



Ryc. 1 Eckehart Ruthenberg (fot. R. Ryss)



Ryc. 2 Eckehart Ruthenberg z jedną z wykonanych przez siebie licznych odbitek nagrobków (fot. R. Ryss)



Ryc. 3 Odbitka macewy z Cedyń (fot. E. Ruthenberg)



Ryc. 4 Odbitka macewy z Bań (fot. E. Ruthenberg)



Ryc. 5 Eckehart Ruthenberg przy swym sklepiku-galerii w berlińskiej dzielnicy Prenzlauer Berg. Nad sklepem szylt: „Rzeczy, których świat nie potrzebuje” (fot. R. Ryss)



Ryc. 6 Przed galerią Ruthenberga często zatrzymują się dzieci. Pozdrawiają go, wołając zdrobniale „Eckie”, podobnie jak znajomi (fot. R. Ryss)